



Projekt edukacyjny  
"Miasto Gdynia  
w okresie II Wojny Światowej"



Zeszyt nr 8

# RELACJA KSIĘDZA JÓZEFA SZARKOWSKIEGO

## Relacja księdza Józefa Szarkowskiego

Ks. Józef Szarkowski

Szarkowski Józef – ksiądz, wykładowca łaciny, opiekun drużyn harcerskich. Urodził się 12.12.1908 we wsi Nowe Glinki w Borach Tucholskich. Świecenia kapłańskie przyjął w grudniu 1933r. Skierowany do parafii NMP w Gdyni jako wikariusz. Kapelan na statkach "Kościeszko" i "Pułaski". Od 1935 r. wykładowca łaciny oraz propedeutyki filozofii w Prywatnym Męskim Gimnazjum nr 803 Towarzystwa Szkół Średnich. Był równocześnie prefektem w Państwowej Szkole Morskiej. Opiekun drużyny harcerskiej i koła PCK. Po zajęciu Gdyni przez Niemców został aresztowany i osadzony w KL Stutthof. Dzięki życzliwej pomocy udało mu się wyjść z obozu, przedostał się do Warszawy, gdzie nauczał w tajnym szkolnictwie. Po wojnie wrócił do Gdyni (na podstawie "Encyklopedii Gdyni").

### 1. Pierwszy dzień wojny w Gdyni

O świcie, w piątek 1 września 1939 roku, uporczywe, monotonne brzęczenie budzi co czujniejszych mieszkańców Gdyni ze snu.

Podchodzę do okna otwartego.

Zapowiada się piękny, pogodny dzień.

Blask wschodzącego słońca rozpiera poranne mgły lecz razi senne jeszcze oczy.

Zbliża się godzina 5.00 rano.

Wysoko, w słonecznej poświacie ukazują się i rosną w oczach jakby srebrzyste, olbrzymie orły. Niewyraźne brzęczenie przechodzi w głośny, rytmiczny warkot motorów.

To nadlatują samoloty.

Gdzieś w oddali, ze wzgórz lesistych, otaczających Gdynię, słychać przygłuszone, pojedyncze odgłosy artylerii przeciwlotniczej. Dostrzec można wyraźne chmurki rozrywających się w powietrzu pocisków ponad basenami portu.

Właśnie nad portem, nadlatujące szybko samoloty, zataczają rozpoznawcze koła, lecą sznurem jeden za drugim, gwałtownie opadają i momentalnie podrywają się ku górze. Z ogromnym hukiem, a spod kadłuba spadają połyskujące w słońcu, podłużne bomby, wpadają do wody, powodują olbrzymie fontanny, zagrażające zgrupowanym w basenach okrętom.

Z 3-go piętra domu p. Kocika przy ulicy Kołłątaja 39 widać doskonale całą panoramę basenów portu handlowego i dworzec morski.

Cały nalot trwa zaledwie kilka minut i już stalowe ptaki wzbijają się wysoko i stopniowo malejąc znikają z horyzontu.

Grupki ludzi obserwujących nalot, zebrane przed domem, dyskutują głośno:

"Czy to ćwiczenia, czy wojna"?

Wprawdzie wczoraj rozlepiano afisze o powszechniej mobilizacji ale przecież nie było wypowiedzenia wojny! ?.....

Dziś ma się rozpocząć nowy rok szkolny. Pod względem kościelnym jest to pierwszy piątek miesiąca z wielką zwykle frekwencją w kościele Św. Rodziny, stojącego po drugiej stronie ul. Kołłątaja.

W zakrystii wita mnie proboszcz ks. Alfons Wysiecki wieścią, że to jednak wojna.

Wiadomość telefoniczna od Ks. Romana Wiśniewskiego z kościoła w Kolibkach, tuż przy granicy z Sopotem - jak wojsko polskie podjęło kontratak, aby zmusić do wycofania napastnicze oddziały hitlerowskie, które w różnych punktach przekroczyły granicę na odcinku Orłowa i Kacka.

Odparła też atak załoga Westerplatte, bronią się pocztowcy polscy w Gdańsku.

Wchodzimy do Kościoła wypełnionego ludźmi. Przy konfesjonalech długie szeregi młodych mężczyzn, częściowo w mundurach. Przypomina mi się wczorajszy incydent na Świętojańskiej, gdzie przed jakąś restauracją już nieco wstawiony oficer Marynarki Woj. koniecznie przynaglał, abym go wypowiedział ale tak w rozmowie przy kieliszku, bo inaczej nie ma odwagi. Jednakże myśl o wojnie i możliwej nagłej śmierci pobudza sumienia do dokonania obrachunku moralnego.

Teraz czeka nas więc dużo pracy w kościele ale do pomocy wikariusze miejscowi ks. Jan Lesiński oraz kolega z pracy szkolnej ks. prefekt Czesław Racki. Ostatnio mieszka również na ul. Kołłątaja, ale kilka numerów dalej, w domu inż. Bieliński.

Po uroczystej wotywie, celebrowanej przez proboszcza, rozlegają się słowa suplikacji "Święty Boże, święty mocny", ufnie miarowo, potężnie płyną błagalne słowa: "Od powietrza, ognia i wojny - wybaw nas Panie!" .....

Po nabożeństwie udajemy się z kolegą Rackim do dyrekcji naszych szkół, mieszczących się w gmachach przy ul. Morskiej. On uczy religii w Liceum Handlowym, w Gimnazjum Kupieckim i Szkole Rzemieślniczej.

Mnie powierzono placówki w Liceum Ogólnokształcącym nr 803 oraz Państwowej Szkole Morskiej i Gimnazjum Żeńskim 803.

W Liceum Ogólnokształcącym, zajmującym II i III piętro ponad Liceum Handlowym i Szkołą Rzemieślniczą, spotykam kilku członków grona w pokoju nauczycielskim.

Jest prof. historii, mgr Alfred Babiński. Żaden z nas nie przewiduje, że następne nasze spotkanie dokona się w Stutthofie. Teraz prof. Babiński z pewną troską komentuje zarządzenie Dyrekcji, odwołujące uroczystość rozpoczęcia nowego roku szkolnego, ale zobowiązujące całe pozostałe grono do udziału w kopaniu rowów pod rygorem konsekwencji służbowych. Obecny tamże prof. Germanistyki mgr Roman Otlewski pociesza kolegę, że wystarczy przypilnować jakiejś grupy uczniów. Mgr Babiński utyka bowiem dość silnie na prawą nogę i kopanie sprawiałoby mu trudności. Zarządzenie Dyrektora stanowi wyraz jego autoratywnego, służbistego stylu, ale Dyrektor ma duże poczucie sprawiedliwości. Pusto dzisiaj i smutno w szkole.

Część grona, jak matematyk prof. Wincenty Łacki i mgr Józef Średnicki, filolog, powołani zostali do wojska, niektórzy jak mgr Dominik Wysocki jeszcze nie wrócił z wakacji.

Z młodzieży przychodzą tylko nieliczne jednostki.

Dyrektora Niemca zastaję w gabinecie. Ten góral z Limanowej, wbrew swemu nazwisku, nie lubi Niemców.

Dzisiaj wyraz jego twarzy wydaje się mniej surowy niż zwykle. Nawet jego siwa, spiczasta postrzyżona bródka, jakby nieco obwisa. Po przywitaniu opowiada mi o bezczelnej mowie Hitlera w Reichstagu, której niedawno słuchał.

Hitler oskarżył Polaków o napaść i zapowiedział odwet. Zaczęła się perfidna komedia propagandowa, przerzucająca na Polskę zbrodniczą akcję hitlerowców.

Jako czynny działacz Polskiego Związku Zawodowego, do którego mnie wciągnął, Dyrektor orientuje się w dywersyjnej robocie Niemców od dawna. Swego czasu skłonił mnie do wygłoszenia z ramienia Polskiego Związku Zachodniego na wiecu protestacyjnym, odbytym na placu Grunwaldzkim pod Kamienną Górą, przemówienia w obronie praw Polaków w Gdańsku i Niemczech. Wiec zgromadził dziesiątki tysięcy ludzi z młodzieżą szkół średnich i związkami robotniczymi włącznie. Chodziło o przyznanie

takich ramowych praw Polakom w Niemczech, jakie Niemcy mieli w Polsce pod każdym względem, również kościelnym.

Po kilku dniach otrzymałem z Gdańska, z siedziby partii hitlerowskiej przy ul. Heweliusza 3, list z podaniem nadawcy i podpisem. List zawierał pogróżki aż do kary śmierci włącznie za "solidaryzowanie się z bandytami polskimi".

List ten czytał Dyrektor i kilku kolegów. Od Dyrektora też dowiedziałem się, że przemawiający po mnie na wiecu z ramienia Związków Robotniczych K. Rusinek oraz A. Zakrzewski otrzymali również listy z pogróżkami.

Znany jako bojowy, o fantastycznym zacięciu przywódca robotniczy Rusinek, w ówczesnym przemówieniu uderzył nieco w strunę narodową, przypominając robotnikom, że oprócz legitymacji partyjnej, każdy z nich posiada i dowód obywatelstwa polskiego. Co więcej, atakując zwykle politykę sensacji, tym razem posłużył się porównaniem, że jak swego czasu do buławy marszałkowskiej Piłsudskiego dołączono Wilno, tak z buławą Rydza – Śmigłego złączymy odzyskanie Gdańska.

Nic dziwnego, że cały wiec zirytował hitlerowców gdańskich.

Ten właśnie Dyrektor zapytuje się, czy list ten zniszczyłem. Okazuje się, że nie, wiec radzi na wszelki wypadek to uczynić. Następnie prosi, aby sprzęt drużyn harcerskich naszych szkół przekazać do dyspozycji wojska. W czerwcu grono wraz z uczniami i Komitetem Rodzicielskim na uroczystej zbiórce przekazało wojsku na ręce pułk. Hoszowskiego karabin maszynowy. Wśród członków Komitetu Rodzicielskiego był wówczas również Komisarz Rządu i kilku doradców wojskowych, których synowie byli uczniami naszego Gimnazjum. Wreszcie Dyrektor zawiadamia, że w ciągu najbliższych dni wypłacą nam oprócz otrzymanej już pensji jeszcze trzymiesięczne dalsze pobory.

Z Dyrekcji szkół udajemy się z kolegą Czesławem do R.K.U.

Posiadamy nominację na kapelanów rezerwy z Min. Spraw Wojskowych. Zgodnie z mobilizacją winniśmy się natychmiast stawić do służby.

Ale 3 miesiące temu odebrano nam w R.K.U. książeczki wojskowe do zamiany, której miano dokonać w ciągu 10 dni.

Oddział R.K.U. znajduje się w blokach miejskich na Grabówku. Urzęduje tu od kilku dni oficer – rezerwy. Okazuje się, że książeczek nie ma. Radzi nam zgłosić się do dyspozycji Kurii Polowej w Warszawie i wystawia odpowiednie zaświadczenie, lecz po przepustkę musimy zgłosić się do Komendanta wojskowego w Komisariacie Rządu.

Po drodze wstępujemy do dziekana – ks. kanonika Teodora Turzyńskiego w parafii N.M.P. Kanonik odbywa akurat naradę z radą parafialną.

Chodzi o ukrycie cenniejszych przedmiotów kultu religijnego. Wśród radnych poznaję p. Jana Radtke, pierwszego wójta w Gdyni, kierownika szkoły p. (Jana) Kamrowskiego oraz p. Jana Grubbę. Dziekan również uważa, że powinniśmy zgłosić się do biskupa polowego (Wojska Polskiego) Gawliny. Wśród jego wikariuszy, kolega biurowy ks. Jan Zakrzewski, z humorem "wtajemnicza" nas w plan dalszej akcji wojskowej, mianowicie ataku z morza i z lądu na Gdańsk o godzinie 14.00, bo od Prus Wschodnich zbliża się już armia Generała Bortnowskiego, który podobno w błyskawicznej akcji zajął Królewiec i Olsztyn. Wydaje się to zbyt piękne, aby było prawdziwe, ale pogłosek tego rodzaju pełno.

Żegnając ks. kanonika i kolegów z Parafii N.M.P. także nie przypuszczałem, że kolejne nasze spotkanie będzie miało miejsce w Stutthofie.

W Komisariacie Rządu mnóstwo oczekujących w kolejce. Przechodzący sekretarz Komisarza Rządu, który towarzyszył mi na uroczystościach w naszym Liceum i stąd znał mnie osobiście, przedstawia naszą sprawę Komendantowi.

Tam wystawia nam przepustki, ale wyraża wątpliwość, czy wyrusza jakikolwiek pociąg, chyba motocyklem lub rowerem.

Czesław więc udaje się na dworzec w sprawie pociągów – za 3 godziny mamy wyruszyć, gdy ze swojej strony załatwię sprawę sprzętu harcerskiego.

Wstępuję do p. Jana Radtkego przy ul. 10 Lutego 2, aby skorzystać z telefonu i połączyć się z druhami.

Komendant Rejonu Morskiego Harcerzy druh Ben(edykt) Porożyński, kolega gimnazjalny, przed powołaniem do wojska, zlecił opracowanie planów alarmowych i przydzielił ewentualnych funkcji dla starych druhow.

Rejon obejmował 3 Hufce terenowe: drużyn szkół podstawowych z druham (Lucjanem) Cyłkowskim, Hufiec morski, druha (Bolesława) Polkowskiego oraz hufiec szkół średnich, u którego byłem komendantem.

Plany alarmowe z numerami łączników nosiłem przy sobie.

Lecz teraz okazuje się, że wielu łączników nie powróciło z wakacji.

Nie ma Stefana Frankowskiego, syna komandora, Mirka Sokoła, syna Komisarza Rządu, mego przybocznego L. Unierowskiego i wielu innych. Osiągam jednak Franka Komorowskiego, Andrzeja i Tadeusza Żupańskiego, 2 braci Mikięckich z Oksywia i byłego naszego ucznia, obecnie w Szkole Morskiej, Feliksa Wagnera. Z komendy dowódcy – pułkownika Dąbka otrzymują zlecenie aby koce i menażki dostarczyć do szpitali: w Szkole Morskiej oraz szkole podstawowej nr 1 przy ul. 10 Lutego. Z namiotów wojsko rezygnuje. W Szkole Morskiej dowiaduję się o śmierci dyrektora Kosko, który zginął w czasie rannego nalotu na baseny portowe, będąc zamustrowany na jednym z okrętów.

Załatwianie tej sprawy zajęło ponad 5 godzin. Wobec tego kolega Racki proponuje odłożyć wyjazd do 2 września przed południem. Decydujemy się na rowery. Mam nocować u kolegi Czesława w domu inż. Bielawskiego. Znajduje się tu solidny schron. Pod wieczór wychodzimy jeszcze do śródmieścia, zaciągnąć języka. Atak Polski na Gdańsk nie nastąpił. Za to Niemcy powtórnie zbombardowali port, ostrzeliwali z artylerii mosty i tory kolejowe. Spotykani ludzie są pełni emocji, lecz dość beztroscy, dużo młodych chłopców z okolicznych wiosek. Garną się do szeregów, ale nie ma broni ani mundurów. Spotyka się jeszcze takich, którzy sądzą, że to tylko incydenty graniczne, chociaż komunikat oficjalny z radia ogłaszał:

"krew się już polała". Rozwój wypadków politycznych, prowokacje niemieckie od dawna wskazywały na możliwość konfliktu zbrojnego, ale czynniki rządowe uspokajały stale.

Mieszkańcy Gdyni mają jeszcze w pamięci Krajowy Kongres Eucharystyczny na Placu Grunwaldzkim w sierpniu z udziałem kardynała Hlonda, biskupa Okoniewskiego i innych, przedstawicieli władz cywilnych i wojskowych. Gwarancje Anglii i Francji, odczyty wojskowych, propaganda, że niemieckie czołgi z dykty, zapewnienia jasnowidza Osowieckiego, przebywającego w Juracie, że wojny nie będzie a nade wszystko mit zwycięskiego marszałka Rydza-Śmigłego, stwierdzającego, że jesteśmy "silni, zwarci i gotowi" i że nie oddamy nawet "guzika" – wszystko to demobilizowało psychicznie.

Brak nam zrozumienia grożącego nam niebezpieczeństwa.

Cała młodzież harcerska śpiewa za wojskiem lądowym i marynarką w stylu "Wojenko, wojenko..!"

"Nikt nam nie zrobi nic,

Bo z nami Śmigły – Śmigły Rydz!

Lub na zmianę:

"Morze nasze morze,

Wiernie będziemy ciebie strzec!

Mamy rozkaz cię utrzymać

Albo na dnie, na dnie twoim lec!"

Zapewne są jednostki i grupy, które widzą realniej....

Zbliża się już godzina 22.00. Obowiązuje ściśle zaciemnienie. Jednak przez wąskie szpary okienne tu i ówdzie przebija się mdły blask i słychać dźwięki muzyki, mimo wojny, w niektórych restauracjach trwają dancingi.

Syci wrażeń, udajemy się na spoczynek, aby jutro wyruszyć do Warszawy etapami. Na wybrzeżu jest kilku stałych kapelanów wojskowych. Dla nas nie przewidują tu przydziału a my swego nie znamy wskutek bałaganu z książeczkami wojskowymi. Gorzej, że podobny bałagan jest z bronią, z mundurami, z planami operacji wojskowych.

## 2. Próba dotarcia do Kurii Polowej w Warszawie.

Jest sobota 2 września. Na rannych mszach św. w Kościele św. Rodziny a także w N.M.P. i Serca Jezusa tłumy ludzi. Musimy pomagać w konfesjonale. Dopiero koło godziny 10.00 jesteśmy wolni. Na ulicach duży ruch. Część letników nie zdążyła wyjechać. Już wczoraj blokowali dworzec, daremnie czekając na pociągi. Spotyka się kolumny wojsk Obrony Narodowej, dużo grup z łopatami do kopania rowów i umocnień. Wyjeżdżamy z ul. Morskiej na ul. 10 Lutego i Świętojańską w kierunku Orłowa. Po drodze dowiadujemy się, że Niemcy bombardowali również Kartuzy i Kościerzynę, dokąd właśnie podążamy. W Orłowie okopy polskie znajdują się w lesie nad morzem i w obrębie majątku Kolibki. Stanowiska umocnione dostrzegamy wzdłuż granicy z Sopotem. Podjeżdżamy do Kościoła w Kolibkach. Stąd już tylko kilkaset metrów do granicy sopockiej. Na cmentarzu wokoło Kościoła gniazdo karabinów maszynowych i stanowisko obserwacyjne z wieży. Stąd doskonałą widoczność. Patrole zatrzymują nas. Legitymujemy się jako kapelani wojskowi.

Żołnierze skarżą się na słaby zapas naboju, na słabe uzbrojenie. Mają tylko karabiny starego typu a Niemcy automaty i dużo R.K.M. Jednakże duch bojowy jest doskonały. Nie ma mowy o oddaniu Gdyni. Niemcy próbowali zaskoczyć wczoraj z rana, wdarli się już do Kacka Małego i Orłowa na kilkaset metrów ale zostali zmuszeni do odwrotu. Teraz tylko pojedyncze patrole próbują dokonać rozeznania. Rozmawiający z nami podporucznik radził nam jechać raczej lasami. Szosa na ul. Wielkopolskiej bywa ostrzeliwana. Ogólne wieści z kraju, z całego frontu są nikłe. Obrona morską koncentruje się na Helu. Niemcy wznawiają ataki lotnicze.

W Rumi zbombardowali lotnisko ale ich Stukasy pikują nawet na ludzi, pracujących na polu, wybierających ziemniaki, strzelają z samolotów seriami z karabinów maszynowych. Więc Niemcy nie oszczędzają ludności cywilnej.

Na Gdynię padło już wiele pocisków artyleryjskich.

W Gdańsku Westerplatte broni się ale placówka poczty została już wczoraj wieczorem zdobyta. Wieść głosi, że pocztowców rozstrzelują, wielu Polaków, w tym polscy księża zostali już w nocy z 31(sierpnia) na 1 (września) aresztowani. Po tych wieściach przez chwilę wahamy się, czy wyjazd jest celowy. Jednakże postanawiamy próbować. Wielkopolską jedziemy na Wielki Kack a następnie Chwaszczyno. Tu niespodzianka. Nadlatują 2 samoloty. Przez chwilę mamy nadzieję, że nasze. Nagle jeden obniża gwałtownie lot. Chowamy się do rowu. Ponad nami pada seria z karabinu maszynowego. To nie żarty. Niemal byłby nas trafił. Irytujemy się: a gdzie nasze samoloty ?

Lotnik wziął nas chyba za patrol.

Za Chwaszczynem decydujemy (się na )kierunek na Kartuzy bocznymi drogami, lasem. Spotykamy na ścieżkach dużo ściętych drzew. To zapory dla czołgów. Są też zamaskowane doły. Kilkakrotnie zatrzymują nas patrole. Po zapoznaniu wciąż ta sama śpiewka: brak nawet amunicji, mają po kilka naboju na osobę. Do Kartuz dojeżdżamy już

blisko wieczorem. Władze cywilne i policja już opuściła miasta. Jest tylko Komendant odcinka i Straż Obywatelska. Pragniemy poinformować się u Komendanta co do dalszej drogi na Kościerzynę.

Musimy czekać 2 godziny.

Komendant akurat ma odprawę z dowódcami kompanii.

W tym czasie stojący obok żołnierze opowiadają nam o walkach z Niemcami. Skarga na nikłą ilość naboju powtarza się.

Komendant ma twarz bardzo znużoną. Już dwie doby nie spał. Droga na Kościerzynę nie jest pewna.

Prawdopodobnie oddziały niemieckie z Gdańska i z kierunku Wejherowa połączyły się, odcinając Wybrzeże na odcinku Kościerzyny.

Radzi nam przenocować i wracać do Gdyni. Nie ręczy jednak czy w wypadku ataku nie uda się Niemcom zająć Kartuz w nocy.

Ma za mało ludzi a przede broni.

Wskazuje nam kwaterę w hotelu. Dziękujemy serdecznie i zbieramy się na spoczynek.

Wczesnie wstajemy, aby udać się do kościoła. Z trudem budzimy kościelnego. Jest wystraszony, myślał, że to Niemcy pukają. Po celebrze, ponieważ w plebani jeszcze śpią, jedziemy bez śniadania z powrotem do Gdyni. Nie spotykamy w mieście żadnego żołnierza. Zajęli stanowiska w lasach. Tylko porządkowi ze Straży Obywatelskiej raczej bojaźliwie twierdzą, że Niemcy już się zbliżają do Kartuz i lada moment zajmą miasto.

Wolimy nie czekać na nich i obieramy drogę lasami w kierunku Kielna. Na tym odcinku nie spotykamy żywego ducha. W kościele w Kielnie akurat kończy się nabożeństwo odśpiewaniem: "Boże coś Polskę..."

Przystajemy chwilę do końca pieśni. Nieco kontrastowo brzmią ostatnie słowa: "Ojczyznę wolną, pobłogosław Panie." -

Część ojczyzny jest już pod okupacją. Kilkadziesiąt kroków za nami prowadzi swe rezerwy po dość stromej drodze grupa młodzieży, gorączkowo dyskutująca.

Rozmawiają o wojnie, o Niemcach. Zaledwie skończył się stromy odcinek, słyszymy jakieś strzały a po chwili nawet świsty kul.

Wchodzimy do rowów, za nami cała grupa młodzieży. Strzały cichną. Wychodzimy znowu na szosę. Z prawej strony, w odległości kilkuset metrów zauważamy grupę 4 ludzi dość śpiesznie cofających się w kierunku granicy z Wolnym Miastem (Gdańskiem).

Z lewej strony wychyla się 3 żołnierzy polskiego patrolu. Okazało się, że silnie uzbrojony, 4 osobowy patrol niemiecki zmusił naszych do ucieczki, do cofnięcia się. Sądząc jednak, że nasza grupa na rowerach zamierza ich otoczyć, śpiesznie się wycofali. Ostatnie strzały przeznaczone były dla Czesia i dla mnie.

Niemcy widocznie uważali nas za dowódców grup rowerzystów.

Żołnierze patrolu polskiego wyjaśnili, że dość często, silnie uzbrojone patrole niemieckie, zapuszczają się względnie daleko na tereny polskie, ale boją się stanowisk naszego wojska ukrytego w lasach. Dokucza nam głód. Wstępujemy więc w Chwaszczynie do plebanii, gdzie ks. proboszcz Saranowski gościnnie nas przyjmuje. Odpoczywamy dość długo. Następnie zmieniamy kierunek, aby nie jechać szosą przez Orłowo, często ostrzeliwaną. Wracamy do Kielna i przez Koleczkowo lasami podążamy do Chyloni i stamtąd na Grabówkę, zawsze lasem. Na Grabówku, w pobliżu ul. Beniowskiego, gdy prawie jesteśmy u celu, zatrzymuje nas polski patrol. Każe nam podnieść ręce do góry, pyta o broń.

Nie słucha wyjaśnień, nie chce oglądać papierów. Szpiedzy niemieccy przebierają się i też mają fałszywe papiery a myśmy się wynurzyli z lasu, więc jesteśmy podejrzeni. Mają rozkaz wszystkich z lasu prowadzić do Komendanta dworca. Co prawda, mocno już się

opóźniło i ciemniej, więc podejrzenia słuszne. Prowadzą nas więc do Komendanta na dworzec. Jakiś srogi chyba ten komendant! Takie srogie rozkazy. Rzeczywiście widać porucznika o tęgich barach pół odwróconego od nas, rozmawiającego z grupą ludzi. Nasz patrol melduje się odwraca i... zaczyna się uśmiechać! Ten srogi rzekomo komendant, to przecież kolega z naszego liceum Józef Sieredzicki, raczej łagodnego usposobienia. Witamy się serdecznie. Wszystko się wyjaśnia, żołnierze patrolu trochę skonfundowani ale chwalimy ich za dzielną służbę, bo szpiegów rzeczywiście pełno. Porucznik ma dla nas nowinę: bombę! Francja i Anglia wypowiedziały Niemcom wojnę! Jakaż radość. Wszyscy ściskamy się ze wzruszenia. Dopiero teraz dostrzegamy ożywienie, pełne radości oczy otaczających nas ludzi! Oni już wiedzą. A więc brawo. Sojusznicy nie zawiedli nas. Za dzień, za dwa wylądują w Rumi alianckie samoloty razem z polskimi zniszczy niemiecką (?) a szczególnie ten bandycki "Schleswig-Holstein", który przybył jako gość a okazał się podłym wrogiem. – W domu jeszcze długo, długo snujemy dalsze plany, zanim pełni nadziei i entuzjazmu zdołaliśmy zasnąć. Niedziela 3 września zakończyła się wielką perspektywą zwycięstwa.

### 3. Dni wielkiej nadziei

Od poniedziałku 4 września przez cały tydzień ludność Gdyni entuzjazmuje się przystąpieniem do wojny Anglii i Francji. Wszędzie rozmowy na temat manifestacji w Warszawie przed ambasadami Anglii i Francji. Nadawano je i powtarzano przez radio. Wszyscy prawie są pewni nadejścia lada dzień skutecznej pomocy. W dodatku Westerplatte broni się dzielnie. Wielu irytuje fakt, marynarka nasza nie spieszy załodze tamtejszego na pomoc "Wtajemniczeni" rozpowiadają, że nastąpi to niebawem przy użyciu również wszystkich kutrów.

Dzienniki nie wychodzą ale ulotki zapowiadają pomoc i zwycięstwo. Z rozmów ze znajomymi oficerami dowiadujemy się jednak, że sam Hel jest atakowany i musi się bronić. Trwają ataki lotnicze, strącono kilka samolotów. Z bardziej znanych wśród społeczeństwa jednostek marynarki "Gryf" został uszkodzony już w dniu 1 września. Zginął jego dowódca – kmdr. ppor. Stefan Kwiatkowski, znany mi osobiście.

Ale "Gryf" razem z "Wichrem", na którym dowodzi kmdr por. Stefan de Walden zostają zakotwiczone na Helu jako baterie pływające i biorą udział w obronie Wybrzeża, skutecznie rażąc niszczyciele niemieckie. Nieco później jednak "Wicher" tonie od bomb lotniczych.

"Burzy" i "Gromu" nie ma w Gdyni. Miały one eskortować statki z uzbrojeniem dla Polski przez Morze Śródziemne i Czarne. Za to mówi się głośno o udanych akcjach naszych jednostek – trałowców. Okręty podwodne jak znany "Orzeł", "Ryś", "Sęp" i inne mają specjalne, wyznaczone zadanie.

Flota niemiecka, obejmująca krążowniki, pancerniki, niszczyciele, okręty podwodne i dziesiątki mniejszych jednostek stanowi zbyt wielką przewagę sił dla bezpośredniej walki.

Zresztą wojskowi twierdzą, że z punktu widzenia operacyjnego położenie wybrzeża jest wprost absurdalne, ogromnie trudne do obrony. Chodzi jednak o względy prestiżowe i wiązanie sił nieprzyjacielskich. Dowódca całości sił morskich i lądowych kontradmirał Józef Unrug cieszy się wielkim mirem również w społeczeństwie wybrzeża. Jego prestiż przysłania innych dowódców, jak dowódcę Obrony Morskiej, dyplom. kmdr Stefana Frankowskiego oraz dowódcę Rejonu Hel, kmdr Włodzimierza Steyera. Ostatni dwaj dowódcy mają swych synów u nas. Syn kmdr Frankowskiego nosi to samo imię, jak ojciec, entuzjazmuje się harcerstwem, jest jednym z moich ministrantów.



Synowie kmdr Steyera również zaliczają się do uczniów naszego Liceum i dzielnych harcerzy. Młodszy jasnowłosy i niebieskooki Włodzimierz to ulubieniec Mamusi, zwłaszcza, że w życiu rodzinnym nastąpiły pewne komplikacje. O wszystkich tych dowódcach głośno teraz na Wybrzeżu. Społeczeństwo ma do nich duże zaufanie. Stopniowo jednak zyskuje rozgłos dowódca lądowej obrony Wybrzeża, nieznanym dotychczas, pułkownik Dąbek. Jego postać nabiera rozmiarów legendarnych.

Pułkownik dwoi się i troi. Jest w sztabie i na różnych odcinkach frontu, prowadzi nawet osobiście natarcia, rozbija bataliony niemieckie, bierze licznych jeńców, auta i broń. Miał jednak nieliczne siły około 14 tysięcy ludzi i nieco ponad 10 tysięcy karabinów.

Bataliony Obrony Narodowej stanowią najslabiej uzbrojony i słabo widoczny element.

Rozmawia się o tym powszechnie w mieście. Z dowódców odcinków, dojeżdżających na front w charakterze kapelana pomocniczego, spotykam się przelotnie z płk. Szpunarem na Witominie i mjr. Zauchą w Redłowie.

Obydwa mają również swoich synów w naszym Liceum nr 803. Dużą rolę w akcji pomocniczej wojsku spełniają związki robotnicze z przywódcą K. Rusinkiem na czele.

Ma on jakby swój sztab w blokach tzw. Spółdzielni Mieszkaniowej na Grabówku, obok mleczarni, w odległości kilkuset metrów od naszego liceum, mgr A. Babiński, jeden z kolegów, u którego bywam, mieszka w tych blokach. Dzięki temu obserwuję bezpośrednią akcję organizacyjną Rusinka, obecnie już ppor. wojsk polskich. W porozumieniu z dowództwem organizuje brygady pomocnicze a około 10 września formalne oddziały "Gdyńskich Kosynierów" wobec braku broni. Harcerze nasi m.in. Feliks Wagner kontaktują się ze mną w tej sprawie. W pierwszych atakach Kosynierów ginie około 50% ludzi. Słysząc głosy niechętnie tej akcji jako bezcelowej.

W danych warunkach miała ona jednak swoje znaczenie, zwłaszcza że oczekiwano nadejścia pomocy z Anglii i Francji. Nie liczone na Bortnowskiego, gdyż jego armia "Pomorze", która miała wkroczyć do Gdańska została rozbita w Borach Tucholskich i zmuszona do odwrotu za Wisłę. Niemieckie armie atakujące z 2 stron, jednoczą się w okolicach Kartuz i Wybrzeże zostaje odizolowane. Mimo to do 12 września trwają wielkie nadzieje na pomoc z zagranicy. Nasi harcerze, pełniący na różnych odcinkach funkcję łączników, często spotykają się ze mną. Do bardzo czynnych należy harcerz Alfred Dyduch, syn podoficera Marynarki Wojennej, jeden z naszych uczniów, którzy zginął później w walkach o Kępę Oksywską. Jesteśmy codziennie z Czesiem na różnych odcinkach frontu, spowiadamy chętnych i udzielamy komunii św., w szpitalach spotykamy i rannych jeńców niemieckich.

Niektórzy z nich, ciężko ranni, proszą o zaopatrzenie. Społeczeństwo jest do nich wrogo nastawione za ataki na ludność cywilną.

W międzyczasie pozostajemy jednak również w kontakcie ze znajomymi.

Z kancelarii szkolnej dowiadujemy się, że u dyrektora Niemca należy odebrać 3 miesięczne pobory. Część grona już pobrała z kancelarii. Z tej racji we wtorek 5 września odwiedzam dyrektora Niemca w jego prywatnej willi na ul. Tatrzańskiej, tuż ponad szkołą podstawową nr 2. Dyrektor przekazał wprawdzie listę mgr. Romanowi Otlewskiemu i tam trzeba pobrać pobory, ale serdecznie zaprasza na kawkę, którą przygotowuje jego żona. Zasiadamy na oszklonej werandzie. Piękny stąd roztacza się widok na morze. Z dala mającą sylwetki okrętów. Oglądamy przez lornetkę. Doliczamy się ponad 12 jednostek. Może to już angielskie?

Rozmawiamy na temat pomocy Anglii i Francji.

Nie mamy wątpliwości, że nadejdzie, a wtedy Wybrzeże będzie oswobodzone i zaraz rozpocznie się normalna praca szkolna. Dyrektor cieszy się z udziału naszych harcerzy w akcji łącznikowej, chociaż b. wielu nie wróciło z wakacji. Żegnamy się w nadziei

szybkiego zobaczenia się w Liceum. Nadzieja ta nigdy nie miała się spełnić. Dyrektor zginie w dalekiej Limanowej, rozstrzelany przez hitlerowców. Odbieram pobory od kolegi Otlewskiego, mieszkającego na ul. Daszyńskiego w pobliżu willi dyrektora i po drodze wstępuję do znajomej rodziny Hubrichów na ul. Podlaskiej nr 1.

Tam zastaję mecenasa (Feliksa) Kopickiego, który znalazł się w trudnej sytuacji finansowej. Człowiek bardzo zamożny, miał zwyczaj pobierać z banku procent od swych oszczędności zawsze po 1-ym (dniu) każdego miesiąca. Wojna zahamowała normalne czynności bankowe i tak został bez grosza. Nam wypłacono jedną pensję normalną i trzy naprzód. A otrzymujemy 30% dodatku do normalnej pensji państwowej w zależności od grupy oraz dodatek na mieszkanie. Dysponuję więc stosunkowo dużą gotówką i na prośbę mecenasa pożyczam mu 800,- zł, chociaż jestem w stosunku do niego (obcy?).

Tak to wojna płata figle.

U Hubrichów wszyscy mają pretensje do Pana Boga, że takie piękne słoneczne dni trwają bez przerwy. Lepszy dla nas byłby ulewny deszcz, utrudniający w rozmiękłej ziemi posuwanie się czołgów.

Taka słoneczna pogoda trwać będzie jeszcze długo. Następnego dnia 6 września, w środę odwiedzam inną znajomą rodzinę pana Jana Radtke, pierwszego wójta Gdyni. W jego osobie kryje się jakby żywa kronika historii Gdyni i portu gdyńskiego. Współpracował z Abrahamem i Rogalą. On też należał do komitetów budowy wszystkich kościołów w Gdyni. Jest starym kawalerem, gospodarzą mu dwie również niezamężne siostry Walerka i Jadwiga, nawet gościnnie.

Pan Radtke orientuje się doskonale w sytuacji, ma mnóstwo wiadomości o przebiegu działań wojennych. Potwierdza to, co znam już z innych relacji.

Od niego dowiaduje się, że K.K.O na Skwerze Kościuszki wypłaca pewną sumę oszczędności z książeczek. Mam na swojej niewiele, kilkaset złotych, ale wobec udzielonej pożyczki mecenasowi Kopickiemu decyduję się je podjąć.

W K.K.O. długie kolejki ale przechodzący dyrektor Linke zabiera mnie ze sobą i odręcznie załatwia sprawę wypłaty. Dyrektor Linke jest pochodzenia kaszubskiego, poznałem go swego czasu u p. Radke a ponadto jako członka Koła Przyjaciół Harcerzy. Bardzo miły człowiek. Niemcy zamordują go w Piaśnicy razem z dyrektorem Banku Rolnego Borysławskim, który ma u nas w Liceum romantycznego synka i bardzo miłą córeczkę.

Wychodząc z K.K.O. spotykam jedną z naszych uczennic – Alę Spyrlakównę. Poznałem jej rodziców na uroczystościach szkolnych. Zaprosili mnie do siebie. Pytam więc o rodziców. Ojciec, oficer dowódca jednego z oddziałów rozpoznawczych, bierze czynny udział w obronie wybrzeża. Ala z matką i młodszą siostrzyczką przebywa w domu. Zaprasza, abym odwiedził ich. Umówiłem się jednak z Czesiem Rackim na obiad do "Ermitage'u". Obiecuję (wstąpić) innym razem i żegnam życzeniem szybkiego zobaczenia się w Gimnazjum. Maskuję tym wzruszenie. Co będzie z Alą i całą naszą młodzieżą, jeżeli tu wejdą hitlerowcy ?. Ala ma 15 lat, jest oczkiem w głowie szczególnie matki, zresztą wszyscy ja lubią. Ujmuje serca nie tylko niezwykłą urodą ale jeszcze w większym stopniu szlachetnym charakterem. Dziwnie mi smutno, gdy się rozstajemy. Intuicyjnie wyczuwam, że już nigdy jej nie zobaczę. Ala odwraca się jeszcze przed wejściem. Mieszka w domu p. Radtkego na Świętojańskiej ponad sklepem "Bata". Jej długie, jasne warkoczki kołyszą się przy nagłym zwrocie. Kiwa mi dłonią, żegnając.

Później, gdy ojciec pojedzie do Oflagu, Ala z matką i siostrą wyjedzie do Krakowa. Jako członek AK, wywieziona w bydłącym wagonie z koleżankami i kolegami, umrze z bohaterską prostotą w obozie, daleko od ojczyzny. Zaraziła się tyfusem pielęgnując ochotniczo chore koleżanki. One wyzdrowiały i wróciły, przywożąc smutną więc matce,

nieutulonej w żalu. Matka, wiedząc, że Alę bardzo lubiłem, po wojnie przywiozła mi z Krakowa ostatnie przed śmiercią pozostałe zdjęcie Ali. Zginęła, mając 18 lat...

Ale wówczas to wszystko to wszystko jeszcze było dalekie...

Czesio czeka już na mnie przy kościele N.M.P. na Świętojańskiej.

Od kilku dni są już pewne trudności z aprowizacją, nawet z chlebem. Siostry nasze, które prowadziły nam gospodarstwo domowe, wyjechały przed wojną do rodzin. Gospodarzymy sami, jadając przeważnie suchy prowiant. Trudno korzystać z zaproszeń do plebani, skoro i tam są trudności. Poinformowano nas, że wprawdzie drogie, ale dobre obiady można zjeść w znanym dancingowym lokalu "Ermitage" na Świętojańskiej. W czasie dnia jest to zwykła restauracja. Nie mając wyboru zdecydowaliśmy chociaż raz na tydzień zjeść możliwy obiad. W ten sposób znaleźliśmy się w "Ermitage'u". Kilka stolików zajmowali wojskowi. Wśród nich zauważyliśmy jakiegoś starszego kapelana wojskowego z piersią, pełną orderów.

Nie był to kapelan Marynarki ks. Miegoń, tego znaleźliśmy osobiście.

Kapelan był w towarzystwie i prowadził ożywioną rozmowę, więc nie chcieliśmy przeszkadzać. W trakcie obiadu zjawiała się w lokalu nowa grupa wojskowych z Komisarzem Rządu Sokołem w mundurze i kmdr Frankowski. Komisarz zdał już swoją funkcję p. Skupieniowi, znanemu również przez syna w naszej szkole. Skupienia Niemcy później zamordują, Sokół jako oficer pójdzie do Oflagu. Zobaczywszy nas, Frankowski uśmiecha się i podchodzi razem z Sokołem do naszego stolika przywitać się. Kiedyś komandor razem z żoną byli na Mszy św. szkolnej, gdy ich synek Stefanek służył do mszy św.

Później razem z synem złożyli mi wizytę, co spowodowało mnie do rewizyty w "Willi 3 Róż" na ul. Sienkiewicza. Żona komandora usilnie starała się o wychowanie syna i córki Joli. Dlatego często bywała w Liceum na różnych uroczystościach. Po przywitaniu, pytamy Komisarza i Komandora o dzieci. Nie wróciły z wakacji. Pytamy o szanse obrony. Komisarz żartuje: "tajemnica wojskowa". Ale Frankowski mówi poważnie :

Wiadomo jakie nasze jest uzbrojenie i położenie!

Ale dlaczego brak uzbrojenia?

Nie my zdecydowaliśmy lecz Warszawa! Prawie wrywa mi się z ust : "Cóż to zdrajcy czy głupcy", tak to zaplanowali?" Komisarz grozi mi palcem, że tak nie wolno!.....

W czwartek 7 września odwiedza mnie m. innymi jedna z uczennic, mieszkająca w Rumii, Jadzia Piechowska.

Przychodzi z żałobną wieścią, zmarł jej ojciec, znany mi osobiście. Prosi o mszę św. za spójność jego duszy. Wojna wpłynęła inaczej na los Jadzi.

Ala umrze z dala od Ojczyzny, Jadzia zawędruje również daleko – ale inaczej. W czasie okupacji zapozna oficera włoskiego, wyjdzie za niego za mąż i zamieszka w dalekiej Florencji. Po tak długich latach odwiedzi matkę własnym autem i z mężem oraz córką i synem złoży mi znowu wizytę.

Dzieci okażą się nader miłe ale nie znają już języka czystego swej matki.

Mija już tydzień od wystąpienia Anglii i Francji przeciw Niemcom a pomoc nie nadchodzi. W piątek 8 września (W czwartek 7 września) poddają się bohaterska załoga Westerplatte. W sobotę 9 września Rusinek ogłasza swą odezwę do robotników Gdyni z wezwaniem do walki o zwycięstwo.

W niedzielę 10 września odbywa się zbiórka ochotników w Blokach Spółdzielni Mieszkaniowej przy ul. Morskiej. Polskie jednostki z udziałem Kosynierów podejmują szereg kontrataków zyskują pewne sukcesy. Ale żelazny pierścień wrogich, przeważających sił zacieśnia się wokół Gdyni. Jeszcze w niedzielę 10 września przy

przepętnionych kościołach Gdyni śpiewamy po każdej mszy św. "Ojczyznę wolną, pobłogosław Panie".

Nadchodzi dzień żałoby.....

#### 4. Dzień żałoby i pochód do Gdańska

Już od 12 września a zwłaszcza 13 przed południem dały się zauważyć przegrupowanie sił polskich z koncentracją na Kępie Oksywskiej. Rozeszły się po Gdyni szmerki, że nastąpi kapitulacja Gdyni a dalsza obrona trwać będzie na Oksywiu i na Helu. Ogół przyjmował to z niedowierzaniem i smutkiem.

W godzinach przedpołudniowych 13 września zatrzymał mnie na ul. 10 Lutego w pobliżu ul. Abrahama znajomy inżynier, obecnie por. Marynarki. Przybył autem ciężarowym z załogą po jakieś sztaby żelazne do umocnień. Nazywa się Zuske lub podobnie. Mówi mi o kapitulacji, która niebawem nastąpi. Zaprasza aby pojechać z nimi na Oksywie. Nie mogę się zdecydować. Obiecałem koledze Czesiowi, z którym byliśmy razem od początku wojny, że wrócę do Niego. Inżynier żegna mnie ze smutkiem. Kilka godzin później, również na 10 Lutego, naprzeciw szkoły podstawowej nr 1, zatrzymuje mnie plutonowy saper, w cywilu członek redakcji "Gazety Kaszubskiej", młody chłopak, poznany u pana Jana Radtke. Powtarza to samo co mówił inżynier. Również zachęca mnie, aby z nimi się zabrać. Stanowią tyły wycofujących się wojsk. Za godzinę wysadzą w powietrze most na Oksywie i do portu. Dziękuję, ale odmawiam.

Wracam do siebie.

Więc niebawem zjawia się w Gdyni hitlerowcy!

Przypomina mi się list z pogrózkami z Gdańska. Dopiero teraz go niszcę. Również komplet pisma młodzieży naszego Liceum p.t. "Stocznia Młodych". Razem z dr Męczyńskim Kazimierzem polonistą i mgr. Dom. Wysockim należałem do Komitetu Opiekuńczego Redakcji pisma z ramienia grona profesorskiego.

Jest tam zwłaszcza jeden mój artykuł, nieco "tromtadracki" o sztandarze cenniejszym niż życie wyraz bezskutecznego ustosunkowania się do hurapatriotyzmu i roli marszałka Rydza-Śmigłego.

Artykuł skierowany (był) przeciw hitleryzmowi.

Po zniszczeniu jeszcze kilku listów wracam do mieszkania kolegi Czesława na przecięciu ul. Kołłątaja z ulicą Surmana, z widokiem na ul. Kapitańską. Za nią, wokoło willi "Ludwinia" rozpoczynają się lasy. Właśnie stamtąd, w pobliżu willi "Ludwinia" wyłania się ostrożnie z lasu patrol niemiecki. Zaczyna się ściemniać, można jednak jeszcze odróżnić umundurowanie niemieckie. Patrol dokonuje rozeznania i znika ponownie w lesie. Kończymy brewiarz i udajemy się na spoczynek. Noc upływa spokojnie. Rankiem o godzinie 6.00 celebруемy w kościele św. Rodziny. Ludzi zgromadziło znowu się sporo, przeważają kobiety i dzieci. Wyczuwa się nastrój żałoby. Wracając, dostrzegamy wokół Bloków Celników i Skarbców żołnierzy niemieckich, wyprowadzających grupki ludzi. Przeglądamy raz jeszcze swe dokumenty i chowamy nominacje na kapelanów rezerwy głęboko w fotelach skórzanych Czesia.

Zbliża się godzina 9.00.

W pewnej chwili Czesio zauważa :

Może lepiej, aby każdy z nas był w swoim mieszkaniu?

Mogą nas podejrzewać o konspirowanie!

Wobec tego żegnamy się i uzgadniamy o godzinie 12.00 ewentualne spotkanie.

Wychodzę.

Na ul. Kołłątaja z przeciwnej strony na przecięciu z ul. Okoniewskiego, między plebanią a domem p. Kocika stoi żołnierz Wehrmachtu.

Patrzy w moim kierunku przez lornetkę.  
Stojąca za nim kobieta kiwa abym się cofnął. Nie zwracając uwagi na żołnierza, kieruję się do domu p. Kocika, do swego mieszkania. Wywiązuje się dialog w języku niemieckim.  
Dokąd?  
Do swego mieszkania !  
A po co?  
Wzruszam ramionami  
Ja tu mieszkam, idę się przebrać.  
Spogląda na moją, długą rewerendę i kiwa głową :  
Dobrze, proszę iść i przebrać się i wrócić !  
Wyrażam zdziwienie : a w jakim celu?  
Po przepustkę cywilną.  
Czy to długo potrwa? Może zabrać ze sobą?  
Nie potrzeba, za dwie godziny powrót.  
Idę więc na 3 piętro, na poddasze.  
Podchodzę do okna, przez które 1 września oglądałem ranny nalot.  
Widzę jak z plebani drugi żołnierz wyprowadza prob. ks. Alfonsa Wysieckiego i wikariusza J. Lesińskiego. Pierwszy żołnierz, który rozmawiał ze mną, dołącza się do nich i cała czwórka udaje się w kierunku ul. Morskiej.  
Co robić iść za nimi, czy pozostać?  
W domu Kocika patrole były już przed moim powrotem.  
Mam szansę pozostania w domu.  
W tej chwili nie myślę ani o liście z pogrózkami ani o pracy w P.Z.Z. Zaskoczyła mnie grzeczność żołnierza i szansa, którą mi dał. Uspokajająca akcja czynników rządowych i flirty ministrów z dygnitarzami niemieckimi nie przygotowały społeczeństwa do zrozumienia prawdziwego oblicza hitleryzmu. Przekonany jestem, że rzeczywiście chodzi o przepustkę, może tak sądził i żołnierz Wehrmachtu. Tych bowiem, których zatrzymano w śródmieściu, rzeczywiście początkowo w ogromnej większości zwolniono - jak się później dowiedziałem.  
Patrząc jak znika sylwetka proboszcza, przypominam sobie, że i Czesia chyba zabrali po przepustkę. Pójdę więc z nimi razem. Nie warto chyba się przebierać. Wychodzę więc w rewerendzie, w letnim płaszczu i półbucikach lekkich.  
W teczce znajduje się krzyż, stuła i brewiarz oraz naczynka z olejami św. - z tym wszystkim jeździłem na front.  
Schodzę ulicą Okoniewskiego. Na ul. Morskiej rozciąga się już olbrzymi wąż czwórek. Rozglądam się wokoło za Czesiem. Nigdzie go nie widać. Może stoi znacznie dalej w tylnej części grupy? Stoję więc obok ks. Wysieckiego i Lesińskiego. Teraz już nie wolno wyjść z szeregów. Pilnują nas uzbrojeni żołnierze, policjanci gdańscy i SS-mani.  
Czy trafnie postąpiłem, schodząc tutaj?  
Mogłem pozostać w mieszkaniu ale wtedy było trzeba natychmiast oddalić się z Gdyni. Prawdopodobnie nie uczyniłbym tego, nie rozumiejąc niebezpieczeństwa, grożącego Polakom ze strony hitlerowców. Mógłbym nawet przetrwać do 24 października, daty aresztowania całej grupy księży i zakonników z Gdyni przez Gestapo ale wówczas byłbym rozszyfrowany i z całą grupą znalazłbym się w Piaśnicy.  
Teraz zabierają nas wszystkich anonimowo. Nie pytają ani o nazwisko ani sprawdzają dokumentów. To stanie się dopiero prawie po 2 tygodniach od dzisiaj.  
Zbierają wszystkich mężczyzn oficjalnie do 45 lat.  
W rzeczywistości znacznie starszych.

Dowiadujemy się, że w śródmieściu akcja ta zaczęła się już wcześniej. Poumieszczano mężczyzn po kościołach, kinach i kawiarniach. Księżę z parafii N.M.P. na Świętojańskiej z ks. kanonikiem Turzyńskim umieszczono w Kawiarni Fangrata na Skwerze Kościuszki zabierając w poczet zakładników.

Po kilku dniach zwolniono, aż do ponownego aresztowania w siedzibie Gestapo na Kamiennej Górze. Ile o tym dowiedziałem się z ich ust dopiero przy spotkaniu w Stutthofie.

Teraz, w tym dniu wielkiej żałoby, 14 września 1939 roku stoimy na ul. Morskiej i czekamy około godziny. W tym czasie sprowadzają ciągle nowych. Czoło pochodu sięga dworca a koniec hen pod Chylonię. Zgromadzili tysiące mężczyzn. Wymyślają nam od Rote Hunde (czerwonych psów").

Chodziło o czerwonych kosynierów, organizowanych przez Rusinka właśnie w Blokach Spółdzielnie Mieszkaniowej przy ul. Morskiej. Ale w Blokach nie ma Kosynierów, bronią z wojskiem Kępy Oksywskiej, a Rusinek jako oficer w mundurze pójdzie do Oflagu a następnie do Stutthofu, ale uniknie rozstrzelania podobnie jak Komisarz Sokół, który również wdział mundur. Natomiast prawie wszyscy przedstawiciele władz i działacze cywilni pójdą "pod ścianę".

Gdy tak stoimy, wielu wypowiada głośno swe komentarze. Jedni kłopotczą się, jak to długo potrwa, inni psioczą na rząd, jeden nawet z księży czyni odpowiedzialnych za wojnę. Społeczeństwo Gdyni jest zróżnicowane klasowo i społecznie.

Istnieją dość silne antagonistyczne dysproporcje między właścicielami sklepów i domów a dzielnicami biedoty zwłaszcza bezrobotnych. Mimo pewnych wysiłków bezrobocie było trudnym problemem do rozwiązania. Teraz jednak, w tym olbrzymim skupisku, zgromadzonym przez Niemców, los wszystkich staje się wspólny. Stoją obok siebie urzędnicy i robotnicy, właściciele i bezrobotni, inteligencja i starsi uczniowie. Toteż po chwili ogólny ton dyskusji wyraża się w stwierdzeniu, że stoimy tu wszyscy razem jako Polacy, bracia jednego narodu, sponiewieranego przez podstępny najeźdźcę.

Trzeba zresztą stwierdzić, że robotnicy, którzy uzyskali stałą pracę w porcie, miewali się nieźle, kupowali małe działki i budowali własne domki, chociaż budownictwo to pozostawiało dużo do życzenia. W Liceum i Gimnazjum 803 był dość duży procent ponad połowy uczniów i uczennic z warstwy robotniczej i niskich kategorii urzędników. Dyrektor Niemiec liczył się wprawdzie z rodzicami - dygnitarzami ale szczerze opiekował się uczniami z warstw robotniczych o ile byli pilnie i względnie uzdolnieni. Przypomina mi się, jak Komitet Rodzicielski umożliwił całkowicie bezpłatne wczasy na obozie harcerskim w Ignalinie, który osobiście prowadziłem, 12 najuboższych a pilnym uczniem. Obok grupy 50 harcerzy wśród których przynajmniej połowa, to również młodzież z warstwy uboższych, tych 12 "kandydatów" na harcerzy, tworzyło odrębny zastęp, którym opiekował się druha Henryk Jeziorski, syn palacza z Urzędu Morskiego.

Jeden z tej 12 - ki - Rębnowski, napisał kronikę tego obozu, która przypadkiem się przechowała. Skorzystał z niej do swej pracy magisterskiej, związanej z harcerstwem w okresie przedwojennym, student W.S.P. Józef Zerko, wiele lat po okupacji, skierowany do mnie przez Podinspektora szkolnego w Gdańsku, owego właśnie b. druha zastępowego Henryka Jezierskiego. Ale ta dygresja wybiega daleko na przód.

Teraz, w tym dniu żałoby, gdy tak sterczymy na ul. Morskiej pod lufami karabinów, oddychamy z ulgą, gdy wreszcie olbrzymi wąż powoli rusza.

Po chwili znów przystajemy. Nasze czwórki stoją akurat na styku z ulicą Daszyńskiego, skąd prowadzi się dalsze grupki. Zauważam wśród nich kolegę, prefekta Gimnazjum i Liceum. Sióstr Urszulanek, Ks. Wieckiego.

Dołącza się do nas. W ten sposób całą naszą czwórkę stanowią księża.  
Znowu czekamy na jakąś decyzję.  
Jest pięknie i pogodnie, słonecznie, cały świat promienieje. Świeża jeszcze, bielejąca jasnymi tynkami Gdynia w kontraście zieleni drzew, stwarza uroczy widok. A jednak jest to dzień głębokiej żałoby. Zebrane wokół kobiety i dzieci polskie płaczą. Szlochają, usiłują podać kawałek chleba a niektóre dzieci częstują cukierkami.  
Niemcy brutalnie odpędzają.....  
Ten piękny widok koronuje młody hitlerowiec na rowerze, skandujący co chwilę:  
"Nun ist Polen doch verloren"! (teraz jednak Polska zginęła!)  
Poczekaj smarkaczu – mówimy z Zygmuntem – będziesz ty jeszcze w spodnie robił, jak ci przyjdzie uciekać nie tylko z Gdyni ale i z Gdańska.  
Nikt nie ma wątpliwości w ostateczne zwycięstwo!  
Przychodzi jakiś SS-man ze sztabu i mówi do naszej eskorty.  
Aus Grabau, alle nad Denzig! (Ci z Grabówka, wszyscy do Gdańska!)  
Nasi komentują zaraz: "to z powodu tych Kosynierów są wściekli na Grabówkę!"  
Ruszamy ul. Śląską, Witomińską ku Radiostacji na Witominie. Wszędzie w oknach i na dachach karabiny maszynowe. Na placu przy Radiostacji segregują oddzielnie pracowników zakładów użyteczności publicznej.  
Znajomy z Zakładu Wodociągów i Kanalizacji p. Feliks Hubrich z innymi daje mi znaki, abym pociągnął rewerendę pod płaszcz i dołączył się do nich jako pracownik zakładu.  
Nie pytają o dokumenty, wierzą na słowo. Ale rezygnuję z tej możliwości, nie chcę odchodzić od kolegów. Przed grupami pojawia się jakiś pan z Komitetu Obywatelskiego, odczytuje ulotkę o zachowanie spokoju i podporządkowanie się zarządzeniom władz niemieckich. W przeciwnym razie grozi zakładnikom śmierć. Ale o pretekst zawsze łatwo. Dochodzi już godzina 13.00, gdy z kolei przez Mały i obok Wielkiego Kacka ruszamy bocznymi drogami do Sopotu.  
Po drodze w Małym Kacku Niemcy wywracają kobietom i dzieciom wiadra z wodą i kawą, wrywają kubki, gdy usiłują nam podać napój, bo pragnienie duże a prawie wszyscy jesteśmy nawet bez śniadań. Dachy i domy Wielkiego Kacka świadczą o ciężkich walkach na tym odcinku. Za Wielkim Kackiem wchodzimy do lasu. Po pewnym czasie okazuje się, że błędzimy. Trzeba zawrócić. Powstaje małe zamieszanie. Kilka korzysta z tego i uskakuje do lasu, strzelają do nich bezskutecznie. Niemców jest kilkadziesiąt, nas ponad tysiąc – Może rzucić się na nich i odebrać im broń? –  
Nie byłoby to przy pewnej organizacji takie trudne. Rozmawiamy na ten temat z innymi. Większość nie chce awantury. Dokąd pójdziemy? Przecież i tak nas zwolnią, idziemy tylko "po przepustki". Ale aż do Gdańska? –  
Gdy dochodzimy do Sopotu – już szarzeje. Z bocznej drogi, obok figury Matki Boskiej, przechodzimy na główną trasę do Gdańska.  
Na ulicy w Sopocie pełno ludzi.  
Mężczyźni palą papierosy i fajki, stają w koszulach, marynarkach, ręce trzymają w kieszeniach spodni  
Kobiety okazują większe ożywienie.  
Głośno wykrzykują: Das sind die polnischen Banditen, die wollten nach Berlin!  
(to polscy bandyci – chcieli iść na Berlin !)  
Dwie jakieś krewkie wielbicielki Adolfa, podstarzałe już mocno babcie, przybiegają z miotłami a widząc księży polskich, usiłują nas uderzyć.  
Jedna zamierzyła się na mnie, bo sam tylko idę w rewendzie a pozostali w koloratkach.  
Byłbym niechlubnie oberwał od babci, gdyby nie mężczyźni.  
Jeden z nich, z wyglądu robotnik, silną dłonią wyrwał babci miotłę i skłął ją:

"Verfluchte Weber! Da sind doch wehrlose Menschen" – (przeklęte baby, to przecież są bezbronni ludzie!)

- Słońce zaszło. Jest już chłodniej. Niemcy przynaglają do pośpiechu. Przez prawie pustą Oliwę, wlecemy się do Wrzeszcza. Tu, w alei lip, naprzeciw Akademii jakieś auta transportowe przerywają skład grupy.

Dochodzi do krótkiego zamieszania, niektórzy siadają na ziemi i oświadczają, że dalej iść nie mają sił. SS-mani kierują na nas lufy karabinów, grożą zastrzeleniem. Przechodnie niemieccy przystają, mieszają się z nami, pytają żołnierzy:

"Was sind das für Leute?" (co to za ludzie?)

Nadarza się znów szansa wyrwania się z grupy.

Mógłbym udawać przechodnia niemieckiego, gdybym nie był w rewerendzie. To zwraca zbyt dużą uwagę, zwłaszcza, że w Gdańsku księża nie mieli zwyczaju chodzić w rewerendzie. Ludność Gdańska była przeważnie wyznania luterańskiego. Osłabieni, głodni i spragnieni dochodzimy wreszcie do dziedzińca szkolnego Victoria – Schule w Gdańsku.

Jest już po godzinie 22. Jakieś grupy zakwaterowano tu już przed nami, m.in. z Wielkiego Kacka. Ci jeszcze otrzymali trochę zupy. Dla nas już nic nie zostało. Zabraniają nam napić się wody. Na korytarzu szkolnym wpuszczają tylko tych po 40, o ile brali udział w pierwszej wojnie światowej w armii niemieckiej. Mówią do nich:

"Kameraden" (koledzy)

Takich jest niewielu.

Głodni i spragnieni, znużeni całodziennym marszem z Gdyni do Gdańska, siadamy razem z ks. Zygmuntem Wieckim na bruku dziedzińca pod murem. Pierwszym raz w życiu kapłańskim nie mieliśmy możliwości odmówienia przepisowych modlitw brewiarza. Próbuje odmawiać różaniec, ale zasypiamy ze zmęczenia, wspieramy się wzajemnie ramieniem.

Budzimy się wcześnie, zziębnięci. Noc jest chłodna. Próbuje rozgrzać się w gimnastyce i dobrze nam to robi. Gdy się ma 30 lat, organizm szybko się regeneruje.

O godz. 6.00 Niemcy zarządzają pobudkę, organizują gimnastykę zbiorową grupami i każą się myć. Nie mamy ani ręczników ani mydła. Mimo to przemywamy twarz w zbiorowej umywalce szkolnej na dziedzińcu, wycieramy się chusteczkami do nosa. Gdzieś koło godz. 9 rozdają trochę zupy ale bez łyżki. Pijemy z talerzy blaszanych lub menażek. Ta porcyjka wodnistej zupy to nasza całodzienna aprowizacja. Właśnie już długi dzień jesteśmy bez jedzenia.

Po południu, koło godz. 16.00, znajomi urzędnicy celni z Bloków Celników na Grabówku, zebrani razem z nami, przynoszą nam trochę gorącej kawy.

Są w mundurach. Szczególnie troszczą się o mnie Bojanowski, Szczurek, Wróblewski. Żartują z mego zarostu. Właściwie od 3 dni chodzę nieogolony. Żartem odpowiadam, że zapuszczę sobie brodę. Po latach dojdzie mnie wieść, że w obozie nosiłem brodę.

Tymczasem Niemcy dokonują jakichś dalszych segregacji według wieku i dzielnic zamieszkania. Nadchodzi wieczór. Słońce stopniowo obniża się ku zachodowi, gdy wreszcie formują z nas dużą grupę tysiąca ludzi i prowadzą różnymi ulicami ponad godzinę. Dochodzimy przez jakieś tory kolejowe do ogromnie potrzaskanego, pełnego olbrzymich wyrw muru.

Ktoś zorientował się w sytuacji i zawołał:

"prowadzą nas na Westerplatte".

Dochodzi godzina 20.00 w dniu 15 września 1939 roku.